

Wojciech Stanisławski: Na górze czajnik, na dole krzyk. Koszykowa

Ten „flipping nieruchomości” z okupacyjną siedzibą KriPo okazał się nadzwyczaj praktyczny (wystarczyło odświeżyć ściany aresztów i nasmarować rygle): jeszcze bardziej praktyczne byłoby wykorzystanie w tym celu siedziby Gestapo przy ul. Szucha, ale na to nie starczyło fantazji nawet ministrowi Radkiewiczowi.

...A potem dawne gabinety pokoje przesłuchań zasiedlono zwykłymi lokatorami, a do cel w piwnicach trafiły archiwa zakładowe „Siarkopolu”. I jedyne sińce, jakie odtąd można tam było spotkać to rozlane, fioletowe odciski pieczęci...

Nie, historii Aresztu Wewnętrzny MBP na Koszykowej nie da się opowiedzieć tak, by „kończyła się dobrze” (choć może rodzajem sprawiedliwego zakończenia jest otwarcie w piwnicach kilku budynków dawnego MBP oddziału Muzeum Powstania Warszawskiego ze stałą wystawą „Cele bezpieczeństwa”?). Da się ją, jak się okazało, opowiedzieć w sposób celny, świetny w lekturze, splatający różne wątki przeszłości i „soczewkujący” różne płaszczyzny funkcjonowania aparatu represji w najbardziej opresyjnych latach Polski powojennej. Prof. Andrzej Zawistowski, historyk związany z SGH, zdołał stworzyć doskonale skonstruowaną „mikrohistorię” miejsca, zarazem ukazując ewolucję i procedury postępowania Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego,

jego strukturę i miejsce w niej „Koszykowej”, wreszcie, co może najciekawsze i najtrudniejsze do odtworzenia – dobór tamtejszych kadr, ich korzenie, światopogląd i motywacje.

Już sama historia miejsca daje nam posmakować tego szczególnego doświadczenia historii: stałej przemiany znaczeń i kontekstów. Okolice Koszykowej, Alej Ujazdowskich i (późniejszego) placu na Rozdrożu pojawiły się na mapach Warszawy za sprawą urbanistycznych ambicji ostatniego króla Rzeczypospolitej, jako część „osi stanisławowskiej”. Przez lata leżały blisko miejskich rogatek, doświadczyły kilku *boomów* budowlanych, od popowstaniowego po sanacyjny, by w latach wojny stać się sercem „Dzielnicy Niemieckiej”, a po jej zakończeniu – tak łatwo przejmuje się budynki, wystarczy odświeżyć ściany farbą i wywiesić nowe sztandary – dzielnicy ministerialno-rządowej. Gmach na rogu Koszykowej i Alej od marca 1945 roku okazał się leżeć przy Alei Stalina (temu przemianowaniu książka zawdzięcza zresztą swój chwytliwy tytuł), a od kwietnia 1945 znalazł się w gestii Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ten *flipping nieruchomości* z okupacyjną siedzibą KriPo okazał się nadzwyczaj praktyczny (wystarczyło odświeżyć ściany aresztów i nasmarować rygle): jeszcze bardziej praktyczne byłoby wykorzystanie w tym celu siedziby Gestapo przy ul. Szucha, ale na to nie starczyło fantazji nawet ministrowi Radkiewiczowi.

Areszt Wewnętrzny przy Koszykowej był – teoretycznie – pierwszą lokalizacją, do której trafiali ludzie zatrzymani przez funkcjonariuszy, jeszcze przez przekazaniem ich w ręce Departamentu Śledczego: czymś w rodzaju „depozytu policyjnego”, pierwszym etapem procedowania, miejscem na pobranie rzeczy osobistych i odcisków palców: w zasadzie nie powinny tam się znajdować osoby podlegające śledztwu, tym

bardziej nie odbywano tam wyroków ani nie dokonywano egzekucji. W praktyce aresztowani często spędzali tam wiele miesięcy. „Koszykowa” była w stalinowskim systemie represji czymś w rodzaju „czarnej dziury”: był to areszt tajny, nie wydostawała się stamtąd żadna informacja (choć oczywiście, część grypsów jak zawsze znajdowała drogę), nawet rodzinom, które otrzymały zgodę na przekazanie uwięzionym bliskim rzeczy czy żywności, nakazywano pozostawienie tych dóbr pod innymi adresami. Na piętrach Koszykowej i Stalina toczyło się normalne życie Ministerstwa: aresztowanych wyprowadzano z piwnic na odbywające się na wyższych piętrach przesłuchania dopiero w nocy. „Nie świst pejcza i krwawe zaklęcia / Tylko słońce w firankach, jesionowe biurko, / Wesoło gwizdże czajnik, kawy domowy zapach / W kątach się rozpiera i słychać wysoki / Perlisty śmiech zażywnej urzędniczki” – pisał Adam Zagajewski w „Małej piosence o cenzurze”. Na Koszykowej słychać było świst pejcza – ale dopiero po godzinach, gdy zażywne urzędniczki MBP ruszały szykować kolację swoim pociechom. Dom dzienny, dom nocny.

Książka Andrzeja Zawistowskiego opisuje również te przesłuchania, często prowadzone w przytomności lub osobiście przez najwyżej stojących funkcjonariuszy resortu: Wiktora Herera, Józefa Różańskiego, Romana Romkowskiego. Szczegółowo dyskutowane są w niej niewątpliwe lub do dziś niewyjaśnione przypadki śmierci więzionych na Koszykowej: tej najbardziej emblematycznej, „Anody” (Jana Rodowicza), niewątpliwej i męczeńskiej (Tadeusza Łabędzkiego), przypadków spornych, niejasnych, kto wie, nieraz może i sfingowanych z myślą o zastraszeniu pozostałych? Przypomnieniem wszystkiego, co czytaliśmy o stalinowskich więzieniach, stop-klatką z „Przesłuchania”, wypisem z Sołżenicyna, są opisy „życia codziennego na Koszykowej”: narastający, a potem cichnący łomot kluczy, którymi funkcjonariusze walili nocą w drzwi celi, by przerwać sen, obrzękłe od niegaszonego

nigdy światła powieki, głód, brud, smród, pragnienie; agenci celowi i napisy wyrzyte na ścianach, których autentyczności nie możemy być pewni, bo może i one były elementem obróbki psychologicznej? „Na ścianie był napis napisany krwią »Boże ratuj«. Później zorientowałem się, że to nie była krew, tylko minia” – wspomina jeden z więźniów.

Największym pewnie sukcesem badawczym tej książki jest odtworzenie zmian statusu Aresztu Wewnętrznego, jego różnych zadań (Koszykowa służyła również jako areszt dyscyplinarny dla funkcjonariuszy i oficerów MBP), miejsca w strukturze ministerstwa i chronologii funkcjonowania – szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę wymowne braki w dokumentacji. Jak się okazuje, w archiwach IPN brak podstawowej dokumentacji, wytwarzanej przez każdy areszt, takiej jak książka osadzonych, dokumentacja sporządzana przez dyżurnych czy katalog depozytów: czy to wynik „brakowania dokumentów” w latach 60. lub na przełomie roku 1989 i 1990, czy raczej dowód na to, że Koszykowa istniała w prawdziwej próżni prawnej?

Na mnie jednak szczególne wrażenie zrobił rozdział poświęcony funkcjonariuszom Urzędu Wewnętrznego. Fascynująca jest niemal nieznaną, często upraszczaną historią osobliwej „formacji” czy może po prostu grupy, jaką byli tzw. „Francuzi”: polskich górników z międzywojennej emigracji zarobkowej do Francji (lub tam urodzonych), którzy trafili do *Résistance*, po wojnie zaś repatriowano do Polski – i blisko jedna piąta z nich trafiła do UB. Czy rzeczywiście zatrudniono ich na Koszykowej ze względu na odrębność całej grupy, utrudniającą nawiązanie kontaktu z aresztowanymi, słabą znajomość polskiego, ba, posługiwanie się regionalną, niemal żargonową odmianą francuskiego, mogącą służyć za „język wewnętrzny” kadry? Andrzej Zawistowski

twierdzi, że prawda jest bardziej prozaiczna, główną przyczyną było niskie wykształcenie i brak praktyki urzędniczej czy śledczej repatriantów.

A przecież nie były to najbardziej skomplikowane ścieżki kariery. Na przykład Antoni Zając, naczelnik Aresztu Wewnętrznego od grudnia 1946 roku. Urodzony w 1918 jako Abram Zając, który zmienił imiona własne i rodziców – w I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, w 1943, na życziwą sugestię gen. Juliusza Hibnera, „który spytał się mnie [jak czytamy w zeznaniach Zająca – ws], czy nie chcę figurować jako aryjczyk (! – ws)”. Nad Okę trafił jednak wyjątkowym szlakiem: przez warsztat krawiecki w Mińsku Mazowieckim, gdzie praktykował jako czeladnik, przez zaangażowanie w KZMP, przez Brygady Międzynarodowe, a po upadku republikańskiej Hiszpanii – przez francuskie obozy internowania, aż po Dżilfę w północnej Afryce, zarządzanej przez władze Vichy, dokąd – po zajęciu Afryki przez aliantów – w 1943 trafiła delegacja sowiecka, szukając chętnych na wyjazd do ZSRS...

Z Mińska zatem do Katalonii, z Afryki nad Okę, stamtąd zaś pod Studzianki, na Wał Pomorski, do Berlina – i na Koszykową. I odtąd przez dziewięć lat – rozprowadzanie wart, wystąpienia w POP, czasem karcer dla całej celi, co nie stanęła na baczność, czasem ślub z koleżanką funkcjonariuszką; dzieci, gwizd czajnika, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Po Październiku nadal w organach: emerytura w roku 1973, zmarł i pochowany został na Powązkach Wojskowych w 11 lat później.

Jego grób, jak pisze Andrzej Zawistowski, znajduje się w prostej linii o niespełna 200 metrów od powązkowskiej Łączki. Czytając „Koszykową” zastanawiałem się, jaki wiersz o tych dwustu metrach pod ziemią – o tych powązkowskich piachach, iłach, wodach podziemnych i wapiennych grudkach – odważyłby się napisać Jarosław Marek Rymkiewicz.



Andrzej Zawistowski, „Koszykowa róg Stalina. Areszt wewnętrzny Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego 1945-1956”, Warszawa, Instytut Pileckiego, 2023

Prawdziwe dostojęstwo mowy

Nieraz, lamentując nad płytkością humanistyki w Polsce, ubolewa się nad mizerną liczbą przekładów: gdzie indziej to Szekspira tłumaczą co dwa-trzy lata, a my do dziś wystawiamy go według Paszkowskiego! Gdzie indziej co chwila nowe przekłady Prousta, a u nas...

Z przekładami nie jest najgorzej, skoro w ostatnim półwieczu spolszczali nam Szekspira Barańczak i Słomczyński, a w ostatnich latach – Piotr Kamiński i Antoni Libera. Gorzej na przykład z paleografią: rzeczywiście, po pomnikowych (i mocno już wystrzępionych) pracach Władysława Semkowicza (1951) i Aleksandra Gieysztor (1973) jakoś pusto, jeśli nie liczyć prac obcojęzycznych.

„Krótka historia litery łacińskiej” Ewy Landowskiej nie zapełni tej luki – ale dobrze móc sięgnąć po egzemplarz książki wydanej z taką urodą: wytłok na okładce, doskonale dobrany, pergaminowo żółty papier, odpowiednie światło, marginesy, oszczędnie szrafowane i lawowane mapy, ba! – nawet errata, uzupełniająca „obcięty” wers, wsunięta

została między właściwe strony na lekkim listku z takim smakiem, że niemal chciałoby się, by podobnych uchybień w druku znalazło się więcej.

Tym jednak, co przekonuje do tej książki przede wszystkim, co sprawdziłoby się nawet, gdyby przyszło ją drukować na szcudrze intarsjowanej drzazgami masie papierowej z czasów PRL, jest oddanie autorki pismu: fundamentowi naszej kultury, tak zwodniczo dziś digitalizowanemu, tak – być może – zmierzchającemu w czasie, gdy przekaz danych dokonuje się coraz częściej za sprawą obrazu, dźwięku, a w niedalekiej przyszłości neurolinków. Tymczasem, przynajmniej w tej części świata, w której przyjęły się alfabety fonetyczne, to litery – ryte, kute, pisane rylcem, piórem i BIC-em, kreślone jak ślad baletowej łyżwy lub ciągnięte mozolnie, spoconą dłonią pierwszoklasisty, błotnistym, rozdygotanym szlakiem – niosą treść.

Nawet, jeśli zachowuje się im wierność, kaligrafia potrafi czasem odstręczać, jako kunszt zbyt już oderwany od rzeczywistości, „sztuka użytkowa” marginalna (choć rozbudowana) niczym warsztaty odlewania świec zapachowych lub zdobienia papieru techniką ebru, urządzone nieraz dla znudzonych pań domu z Wilanowa. Sam łapię się czasem na podobnych uprzedzeniach, choć wiem, że to niesłuszne: dobrze prowadzone zajęcia z kaligrafii potrafią dać uczestnikom kilka godzin skupienia i ciszy: to dużo, więcej nawet niż pracowicie przepisany pobożny wers z niegrzecznym kleksem.

Inna rzecz, że nawet wśród kaligrafów traktujących swoje zajęcia serio nierzadkie jest „wygładzanie”, przystosowywanie dawnych duktów i krojów do dzisiejszej wrażliwości, estetyzowanie, mnożenie barokowych floratur, uroczo wyglądających na zaproszeniu ślubnym, w większych dawkach jednak naprawdę zbytecznych. Na szczęście Ewa

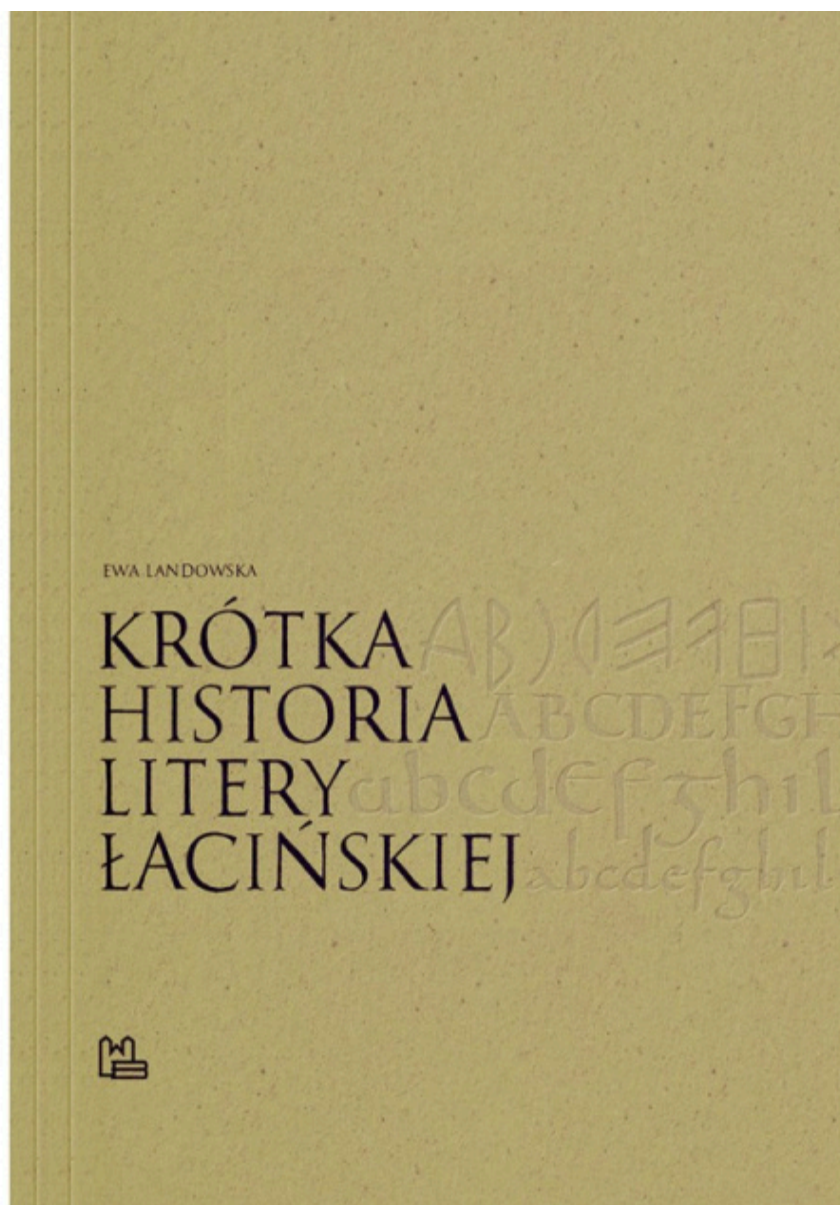
Landowska rozumie to zagrożenie: „W czasach, gdy księgi pisane były ręcznie (...) pojęcie estetycznej doskonałości różniło się od tego, co dziś rozumiemy pod tym hasłem” – twierdzi we wstępie, z ogniem broniąc dawnych manuskryptów, których litery „są żywe, przestrzenne i dźwięczne. Jest w nich chropowatość, zmęczenie, pośpiech, ale też namysł, lekkość i świeżość”.

Takie też są wzorniki w tej książce, odwzorowane z manuskryptów z epoki, nie z prac innych kaligrafów: długo można smakować wici kuryały rzymskiej, korpulentną uncjałę, niepowtarzalne merowińskie „a” (ostatnią szansę studentów, odpytywanych na zajęciach z paleografii), rygorystyczny rytm pisma zwanego przez Franków „longobardzkim” i czarne romby majuskuły Dürera z 1525 roku, które wyglądają niczym karo z talii kart, jakby ktoś stawiał nad Europą wielkiego pasjansa w przeddzień rozpadu jedności zachodniego Kościoła.

Jak wiemy z klasyków, napisana sarna biegnie przez napisany las, i „na pożyczonych z prawdy czterech nóżkach wsparta / spod moich palców uchem strzyże”. Ale czy te zarośla, przez które się przedziera, kreślone były teksturą, cancellarescą czy bastardą? Czy nie pokaleczyła sobie kopytek o frakturę, czy nie ślizgała się na spencerowskim dukcie? O tym uda się dowiedzieć tylko z książki wydanej przez benedyktynów z Tyńca: coś o tym wiedzą, niedługo minie tysiąc lat, jak patrzą tam na sarny w nadwiślańskich chaszczach i uparcie kreślą litery.

Ewa Landowska, „Krótka historia litery łacińskiej”, Wydawnictwo Benedyktynów, Tyniec, 2023

Wojciech Stanisławski



Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie. Wcześniejsze to m.in:

- *Empireum na Elektoralnej*
- *Nowoczesne historie Ukrainy*
- *Lastryko, dębina, siena palona*
- *Szaranagajama*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
